Polska Wiosna Teatralna we Lwowie

„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz

Anna Gordijewska

Na Polską Wiosnę Teatralną przyjechały znane już lwowskiej publiczności amatorskie zespoły teatralne z Wilna i Wędryni. Po raz pierwszy na tegorocznym festiwalu gościł Teatr AA Vademecum z Wiednia. Gospodarz wydarzenia – Polski Teatr Ludowy – przedstawił swoją nową premierę.

W tym roku w festiwalowym repertuarze górowały komedie. Gwiazdą siódmej edycji Wiosny był słynny polski aktor teatralny Stanisław Górka. Impreza odbyła się w dniach 21–24 kwietnia 2017 roku w Pierwszym Ukraińskim Teatrze Młodego Widza, w Lwowskim Obwodowym Teatrze Lalek, w Teatrze im. Lesia Kurbasa oraz Obwodowym Domu Nauczyciela. Organizatorem 7. Polskiej Wiosny jest Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

„Boeing Boeing”, fot. Anna Gordijewska

„Boeing Boeing”, fot. Anna Gordijewska

Festiwal zainaugurował Zespół Teatralny im. Jerzego Cieńciały z Wędryni, który wystawił sztukę „Boeing, Boeing” francuskiego pisarza Marca Camolettiego w reżyserii kierownika tegoż zespołu Janusza Ondraszka. Ta komedia trafiła do księgi Guinnessa za rekordową ilość wystawień, została zagrana w 55 państwach. Główny bohater Maks dokładnie zapisuje godziny odlotu i przylotu samolotów, ponieważ jego trzy dziewczyny – Johana, Jola i Janet – są stewardessami, ale pracują w różnych liniach lotniczych. Młody podrywacz trzech damskich serc obiecuje każdej ożenić się z nią. Jego system randek działa sprawnie, samoloty przylatują i odlatują, a wraz z nimi narzeczone. Ale jak to w życiu bywa, nie wszystko działa jak w zegarku, po zmianie rozkładu lotów wszystkie niewiasty naraz zaczęły wracać do mieszkania swojego ukochanego. Do Maksa wpada jego kuzyn Paweł, który szybko zorientował się, że coś jest nie tak i wraz z gosposią Nadią (w rolę której wspaniale wcielił się Janusz Ondraszek) pomagają mu wyjść z niejednoznacznej sytuacji.

„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz

„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz

Podczas Wiosny nie zabrakło spektaklu dla najmłodszych widzów. „Nowe szaty króla” Hansa Christiana Andersena – wyreżyserowane przez Lilię Kiejzik – to tegoroczna pozycja festiwalowa Polskiego Studia Teatralnego w Wilnie „Teatr Studio”. – Jesteśmy zadowoleni, że Lwów znów potrzebował bajki. Baśnie Andersena to klasyka, która jest zawsze aktualna – powiedziała w rozmowie z KG kierownik zespołu Lilia Kiejzik. W sztuce zagrali młodzi chłopcy 12 i 13-latkowie wraz z dorosłymi aktorami. Cieszymy się również, że mogliśmy przyjechać do Lwowa. W październiku kolejne nasze spotkania teatralne odbędą się w Wilnie. Mamy możliwość pojechać gdzie indziej, ale zawsze najchętniej wracamy do Lwowa…

W drugim dniu debiutant festiwalu Teatr AA Vademecum z Wiednia zagrał „Seksmisję” w oparciu o scenariusz Juliusza Machulskiego w reżyserii Agnieszki Salamon. Film Machulskiego z lat 80. do dziś należy do jednej z kultowych komedii kina polskiego. Główni bohaterowie, przeżywszy wojnę atomową, po obudzeniu się trafili do podziemnego państwa, gdzie mieszkają i rządzą tylko kobiety. Była to bardzo interesująca propozycja wiedeńskiego zespołu, tym bardziej, że żaden z teatrów dotychczas nie podjął się zagrania tej komedii na scenie. – Na pomysł z „Seksmisją” wpadłam w bardzo prosty sposób – powiedziała Agnieszka Salamon. – W zespołach amatorskich jest wiele pięknych i zdolnych kobiet, i mało jest sztuk, gdzie jest

dużo kobiecych ról. Ponieważ „Seksmisję” wszyscy znają i ja też (chociaż miałam wówczas 5 lat), pomyślałam, że jest to idealny materiał, żeby obsadzić w nim dużo kobiet, żeby wszystkie miały dużo do grania na scenie. Spróbowaliśmy otrzymać prawa autorskie od Juliusza Machulskiego, a przyznam, że nie było to łatwe. No i udało się! Jesteśmy po grudniowej premierze we Wiedniu i po wiosennej lwowskiej – dodała.

„Seksmisja”, fot. Aleksander Kuśnierz

Natomiast dyrektor Teatru Vademecum Beata Maciejczuk-Paluch była zaskoczona lwowską publicznością, która żywo i

spontanicznie reagowała na grę aktorów. – Spotkało nas tutaj fantastyczne przyjęcie, którego nie spodziewaliśmy się – zaznaczyła. Dziękujemy bardzo całemu zespołowi Teatru Polskiego we Lwowie za to trudne logistycznie przedsięwzięcie. Chcielibyśmy coś podobnego zorganizować u nas w Wiedniu i mamy nadzieję, że polski teatr ze Lwowa ponownie zawita do nas i pokaże coś równie ciekawego. Znakomicie, że nasze marzenia spełniły się i że jesteśmy na tym festiwalu teatralnym, o którym już słyszeliśmy wcześniej – powiedziała.

W niedzielę, 23 kwietnia, Polski Teatr Ludowy ze Lwowa zaprosił gości i widzów do swojej skromnej widowni na komedię Dario Niccodemi „Scampolo". Powojenna premiera przedstawienia, ale z podtytułem „Świderek", miała miejsce we Lwowie przy ul. Zimorowicza 17 w Teatrze Małych Form 5 kwietnia 1946 roku. W tym przedstawieniu Bogusława Michna-Czosnowska (obecnie mieszka w Szczecinie) zagrała tytułową rolę – Świderka, po 71 latach w rolę Scampolo wcieliła się Wiktoria Słobodiana. Zbigniew Chrzanowski, który wyreżyserował tę sztukę, wystąpił jako Nieznajomy, w tej samej roli, którą przed laty zagrał jego wujek – Stanisław Krzanowski. Zbigniew Chrzanowski marzył o wystawieniu tej komedii, ale okazało się, że nikt nie ma tekstu. Po długich poszukiwaniach, w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu odnaleziono rękopis suflera teatralnego.

Podsumowując 7. Edycję Wiosny Teatralnej współorganizator

tego festiwalu Zbigniew Chrzanowski powiedział o tym, że te trzy dni – spektakle, spotkania, relacje z publicznością – przeminęły jak jeden moment. – Spotykamy się ze sobą od wielu lat, myślę o Wilnie i Wędryni. A teraz dołączył do nas nowo poznany teatr Vademecum z Wiednia. Wszystkie zespoły grały wspaniale! Staramy się do każdej edycji teatralnej zaprosić również osobę, która będzie ozdobą, punktem odniesienia, wysokiego kunsztu, pięknego artyzmu. W ciągu wielu lat zawsze nam się to udaje. Lwowska publiczność jest bardzo chłonna, wrażliwa i bardzo chętnie przyjmuje nasze propozycje – dodał.

Powieść Romain Rollanda „Colas Breugnon" przywiózł Stanisław Górka, znakomity aktor teatralny i reżyser. Stanisław Górka jest profesorem i wykładowcą Akademii Teatralnej w Warszawie, a także dyrektorem Towarzystwa Teatralnego „Pod Górkę". Ten wzruszający monodram w jego wykonaniu bardzo przypadł do serca lwowskiej publiczności. W przedstawieniu zabrzmiały piosenki Georgesa Brassensa w tłumaczeniu nieodżałowanego Wojciecha Młynarskiego pod nagrane dźwięki fortepianu w wykonaniu Jerzego Derfela. Wszystko to stworzyło niepowtarzalną atmosferę w dawnym teatrze Bagatela, niegdyś Casino de Paris, gdzie występowały różne kabarety, a także śpiewała Hanka Ordonówna – obecnie jest to Teatr im. Lesia Kurbasa.

„Colas Breugnon”, Stanisław Górka, fot. Aleksander Kuśnierz

W wywiadzie dla „Kuriera Galicyjskiego” Stanisław Górka powiedział, że spektakl „chodził za nim” od wielu lat. Wybrał ten tekst, ponieważ ma on dla artysty pewne urzekające przesłanie, ważne dla dzisiejszego współczesnego człowieka. – Romain Rolland miał wiele spraw przemyślanych i dużo wiedział o naturze ludzkiej – powiedział. – Stworzył postać Colas Breugnon, człowieka, który dźwigając się z nieszczęścia, z upadku, tracąc wszystko, zostając nędzarzem, mimo wszystko znajduje sens życia. Zachował godność i zachował szczęście. Wiemy, że jest to książka o dziwnej mocy, dzięki której wiele

osób przeżyło czasy stalinowskie, II wojnę światową, holocaust, okupację, czasy pogardy i nieszczęść. Ta książka działa w sposób cudowny, ponieważ dodaje nam sił. Są ludzie, którzy czytają ją w kółko, są jak gdyby od niej uzależnieni. Powieść ładuje akumulatory, uspokaja i przywraca wiarę w świat i ludzi, w człowieczeństwo – dodał Stanisław Górka. Główne motto tego przedstawienia, jak mówi Romain Rolland: „Im mniej posiadam, tym jestem bogatszy, bo umiem żyć szczęściem innych ludzi". Artysta grał ten spektakl na Florydzie i był zdruzgotany świadomością tamtejszej publiczności, która patrzy 20 lat do przodu. – A my jeszcze tego nie wiemy, gonimy tu we Lwowie, w Warszawie, zadręczamy się, zamartwiamy się. A przecież nie na tym polega życie. Rolland daje prostą receptę na życie. Chcesz być szczęśliwy? Zostaw to wszystko! Znajduj szczęście w najprostszych rzeczach – w przyjaźni, smakowaniu jedzenia, życia i wina też.

Zakończyła się 7. Polska Wiosna Teatralna we Lwowie. Mimo niskiej temperatury, jak na tę porę roku, w czterech różnych salach widowiskowych teatrów lwowskich było ciepło, a wręcz gorąco od emocji, wspaniałej gry aktorów, brawurowych oklasków publiczności, niezapomnianych i wzruszających spotkań i przemyśleń tego, co zobaczyliśmy na scenie. Spotkali się ze sobą Polacy, mieszkający poza granicami Ojczyzny, którzy poprzez swoją pracę społeczną i poświęcenie nieustannie wnoszą wkład w kulturę polską w krajach swego zamieszkania i których

łączy magiczne słowo – Teatr.

Źródło: Kurier Galicyjski, http://www.kuriergalicyjski.com

Tekst ukazał się w nr 8 (276) 28 kwietnia – 15 maja 2017

Muza Zaświecia i jej matka

Władysław Pomarański

We Lwowie byłem krótko, bardzo krótko, tylko dwa dni. Byłem tam kilka lat temu w czasie mego pobytu w Polsce. Słyszałem przed wyjazdem z różnych opowieści, że miasto jest zaniedbane, brudne, odrapane, że Ukraińcy robią wszystko, by je zmarginalizować, by go odciąć od historii, by mu ująć co się da z jego dawnej, polskiej krasy. Zaskoczenie moje było totalne.

Lwów mimo zaniedbań ze strony władz miejskich i państwowych jest kolorowy, czysty, pełen życia, z cudowną operą, kilkoma innymi teatrami, ogromną ilością muzeów, pełen przytulnych kawiarenek, starych tradycyjnych restauracji, a przede wszystkim zadziwia swym niezwykłym bogactwem architektonicznym. W tym średniej wielkości mieście położonym na obrzeżach kraju, znajduje się tu ponad połowa zabytków całej Ukrainy.

Deptaki miejskie są pełne turystów, przeważnie Polaków. Nie ma tłoku, nie ma zbytniego pośpiechu, ceny śmiesznie niskie (za bilet do opery zapłaciłem 4 kanadyjskie dolary). Chłonąłem to tętno i smaki miasta wszystkim zmysłami. Nie spodziewałem się jednak, że najbardziej emocjonalne przeżycia czekają mnie na Cmentarzu Łyczakowskim i to jeszcze zanim doszedłem do dołączonego do niego Cmentarza Orląt Lwowskich. Jak bardzo Lwów był polski właśnie tu najbardziej widać. Jeden z pisarzy znalazł na tym cmentarzu 141 nazwisk polskich poetów, ktoś inny mówi, że jest tu pogrzebanych prawie 1000 osób o polskim nazwisku i korzeniach, ludzi znanych i zasłużonych. Aleja Zasłużonych cmentarza to prawie wyłącznie nazwiska polskie i niektóre tak znane i ważne dla kultury polskiej, że już w szkole podstawowej słyszałem o nich. Najwięcej czasu spędziłem przed dwoma nagrobkami: malarza Artura Grottgera i pomnikiem rodzinnym Młodnickich i Wolskich. Pomnik Grotgera zauroczył mnie.

Pomnik nagrobny Artura Grottgera.

Dowiedziałem się później, że to dzieło włoskiego rzeźbiarza Parysa Filippi z centralną figurą na nim pięknej, smutnej, rozmodlonej, zamyślonej kobiety. Stałem przy pomniku wystarczająco długo, by się dowiedzieć, dlaczego na grobie mężczyzny dominującą postacią jest kobieta. Wycieczki,

przeważnie polskie, podchodziły i odchodziły, z ust przewodniczek dowiedziałem się, że ta kobieta to jedna z najpiękniejszych kobiet Lwowa, Wanda Monné, wielka miłość Grottgera.

Grottger był synem zubożałego szlachcica, musiał zarabiać na życie wędrując od dworu do dworu malując portrety często niezbyt fotogenicznych właścicieli ziemskich i ich często dość puszystych pań. Sam nie był zbyt urodziwy, wystarczy spojrzeć na jego autoportret. W wolnych chwilach malował i szkicował sceny z tragicznej historii Polski. Te obrazy przyniosły mu sławę, poprzez nie Wanda najpierw poznała malarza. Twarzą w twarz spotkała się z nim w słynnej Strzelnicy na ulicy Kurkowej na balu, gdy miała 17 lat, on był od niej starszy o około 10 lat. Była to miłość od pierwszego wejrzenia i to obustronna, niestety idylla ta trwała niepełne dwa lata. Panna Monné to dziecko potomka uciekiniera francuskiego przed Rewolucją i kobiety z bardzo starej sięgającej średniego średniowiecza rodziny nadreńskiej. Obie rodziny były od kilku pokoleń w pełni spolszczone.

Niestety rodzice Wandy rozeszli się, nią zajęła się mama i ciotka. Ciotka Teresa Wentz osoba wykształcona, bogata i szanowana założyła we Lwowie Zakład Naukowo-Wychowaczy dla Panien w budynkach zakonu rozwiązanego przez cesarza austriackiego. Była to wyjątkowa instytucja. Uczyły tam najwybitniejsze damskie osobistości Lwowa, było to też miejsce spotkań polskiej

elity tego miasta – to prawdziwa kuźnia polskiego patriotyzmu. Tu Wanda wyrosła na wszechstronnie uzdolnioną, literacko i artystycznie, kobietę. Była prześliczną dziewczyną. Grottger wiedział, że jego życie się kończy, nabawił się gruźlicy płuc, a wtedy to równało się prawie z wyrokiem śmierci. Arystokratyczna rodzina panny nie widziała przyszłości dla Wandy u jego boku, była bardzo przeciwna ich spotkaniom. Spotykali się potajemnie na cichych alejkach Cmentarza Łyczakowskiego, on nawet upatrzył miejsce, gdzie chciałby być pochowany. Wanda słyszeć o tym nie chciała, natchnęła go myślą, że ich miłość dokona cudu, że wygrzebie się z choroby. Uwierzył chyba w to. By zapewnić dostatni byt swej wybrance wyjechał do Paryża, bo w owym czasie tylko tam można było zaistnieć jako artysta. Zaistniał – sam nawet cesarz kupił od niego serię obrazów o tematyce wojennej. Ale choroba nie ustępowała. Wanda listownie wymusiła na nim by przeniósł się do sławnego wówczas sanatorium w Pirenejach francuskich. Zrobił to i tam zmarł. Wanda spieniężyła całą swoją biżuterię, wymusiła na rodzinie, by zgodziła się na sprzedaż części jej posagu, sprowadziła jego ciało do Lwowa, pochowała w miejscu, które wskazał; co więcej, wyszła za mąż za najbliższego przyjaciela jej kochanego, też artystę malarza Artura Młodnickiego, bo tak przed śmiercią zażyczył sobie jej „Arthur”. Ciało jej należało do drugiego Artura, dusza zawsze i do śmierci do pierwszego. Drugiemu Arturowi to nie przeszkadzało, sam otaczał zmarłego przyjaciela szacunkiem, graniczącym z

uwielbieniem. Ich dom stał się muzeum-świątynią pamiątek po zmarłym. W tym domu-świątyni przyszła na świat Maria, nazywana od dzieciństwa Marylą, temperamentem, wykształceniem i urodą dorównująca swej wspaniałej mamie.

Portret Wandy Monné Młodnickiej i jej kochanego w tle.

Artur Grottger, Autoportret

Dziwi mnie, że o tej wspaniałej, szaleńczej, niespełnionej miłości tych dwojga ludzi nie powstała jakaś powieść czy film. Fabuła jest pełna, nie trzeba niczego podmalowywać, upiększać, a w tym szaleństwie nie ma jakiegoś melodramatu. To najczystsza, najwspanialsza miłość, co potrafi przenosić góry. Fakty są tu piękniejsze od fantazji. Na takie wyżyny potrafią się wznieść chyba tylko nasi Kresowiacy i to nie tylko w dziedzinie miłości indywidualnej. Dla nich do dzisiaj słowa Ojczyzna, patriotyzm, ofiara i poświęcenie dla Kraju, polskość to ciągle słowa wielkie, święte. W Polsce obecnie deklamują je najczęściej politycy, tak na wyrost, bo ich czyny i życie niekiedy przeczą temu co wypowiadają usta. Słowa te wśród nas tracą znaczenie, stają się

coraz bardziej słowami wstydliwymi. Jaka szkoda, że granice oddzieliły Kresowiaków od nas. Tak bardzo jest ich nam brak w naszej obecnej, zmaterializowanej Rzeczpospolitej.

Wanda Monné autorstwa Artura Grottgera.

Mała Marylka pod opieką mamy Wandy Młodnickiej, w zakładzie dla panienek z bogatych polskich rodzin Lwowa i okolic, założonego przez siostrę jej babci, czuła się wspaniale, miała życie „sielskie, anielskie", była maskotką tej instytucji, znaną całej społeczności polskiej we Lwowie, stanowiła przyszłą doskonałą partię do małżeństwa. Mama przelała całą swą miłość po śmierci Grottgera na nią, dbała żeby ta popularność nie uderzyła jej do głowy, zmusiła ją do intensywnych i wszechstronnych studiów, dbała o jej obycie towarzyskie, prowadziła na wszelkie imprezy patriotyczne. Tak więc to piękne dziecko, obok równie pięknej mamy, stało się od bardzo młodego wieku ambasadorem polskości i patriotyzmu w swoim gronie. Jedną z takich imprez był koncert w 1887 r. we Lwowie Ignacego Jana Paderewskiego. Sala była prawie pusta, bo niewielu wtedy słyszało o tym jeszcze nieznanym pianiście. Czternastoletnia Marylka intelektualnie i emocjonalnie była niemal dorosłą

kobietą. Kochała muzykę. Zachwyciła się kompozycjami Paderewskiego i ich wirtuozowskim wykonaniem, ale jeszcze bardziej zafascynowała ją osoba kompozytora-wirtuoza.

Podobnie jak jej mama, która gdy miała 17 lat, zakochała się w Grottgerze, tak i ona będąc jeszcze młodszą pokochała szaloną, romantyczną miłością Paderewskiego. Pianista miał wtedy 27 lat. Był wysokim, przystojnym mężczyzną z burzą rudopłowej grzywy nad czołem, która szalała na tejże głowie razem z jej właścicielem przy wykonywaniu szybszych utworów. To nie było smarkacze dziewczęce zauroczenie, to była prawdziwa miłość. Paderewski nie wiedział chyba o tym, może się tylko domyślał, bo od tej pory Maryla wykorzystywała każdą okazję by się znaleźć jak najbliżej niego. Szybko stał się sławnym i wyrazy uwielbienia szlachetnie urodzonych dzierlatek stały się codziennością w jego życiu. Uwielbienie Maryli traktował jako należną mu daninę, nie miał zamiaru się w niej zakochiwać. Maryla nie odpuszczała. Kiedy Paderewski był zaproszony na odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, znalazła się tam i ona. Była już w pełni dojrzałą kobietą i jeszcze raz chciała przekonać się o swoich uczuciach po dość długim niewidzeniu Paderewskiego.

Ignacy Jan Paderewski, w czasie, gdy go poznała Maryla.

Posłuchajmy, co na ten temat zwierza się Elizie Orzeszkowej:

> Wyrwałam się z matką by zobaczyć Warszawę i… Paderewskiego. I przeceniłam swoje siły, zrobiłam źle. Sądziłam, że po latach tylu… potrafię patrzeć już na niego jak na fatamorganę przeszłości – na widmo snów moich dziewczęcych, które przeszły, a dzień trzeźwy, biały dzień dla mojego życia nastał. Ale czar trwa. Kiedy stanął przede mną… miałam wrażenie, którego do śmierci zapomnieć nie zdołam, że mi ten człowiek duszę zabiera na własność.

Duszy nie zabrał, sama mu ją oddała, on nie kwapił się do zabrania ciała. Przypadło ono bogatemu Wacławowi Wolskiemu przemysłowcowi, nafciarzowi, inżynierowi i wynalazcy. Stworzył dla swej nieco szalonej żony wspaniałe warunki bytu. Kupił wielki dom w przeogromnym ogrodzie, w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Lwowa, w pobliżu Cytadeli. Maryla była już malarką i poetką, duszą marzycielską. Dom przy podgórskiej, krętej, małej uliczce odcięty od życia miejskiego gąszczem rozległego ogrodu zachwycił ją, nazwała go „Zaświeciem” – czymś poza zgiełkiem świata. Tu założyła salon dla ludzi kultury. Razem z kilkoma pisarzami, z których najbardziej znanym był Leopold Staff, stworzyła grupkę poetycką zwaną żartobliwie „Płanetnicy” (płanetnik to pół człowiek, pół demon, przesuwający chmury po niebie). Była duszą wszystkich zebrań. Biedni poeci,

niektórzy jeszcze studenci, chętnie tu przychodzili nie tylko na obrazoburcze dyskusje, słuchanie nowych utworów poetyckich, ale i dlatego, by się trochę podkarmić. Mąż bardzo się cieszył z tej aktywności swej młodej, uroczej i wyjątkowo pięknej żony. Była prawdziwą muzą ich Zaświecia. Mimo wszystko jej dusza ciągle należała do Paderewskiego. Świadczy o tym choćby ten wiersz miłosny *Ex voto*, a niezbyt znający się na poezji mąż nie domyślał się, że to nie on był jego adresatem:

> Wiem, że nie będziesz dla mnie niczym więcej,
>
> Jak mgłą i snem,
>
> A jednak – w ciszę tę księżycem złotą
>
> Wyciągam ręce z bezbrzeżną tęsknotą
>
> Za widmem twem…

Wacław i Maryla Wolscy.

W kilku podręcznikach literatury polskiej i kilku słownikach do których zajrzałem Maryla Wolska jest wymieniana jako typowa przedstawicielka poezji Młodej Polski, młodszego jej pokolenia. Ten krótki mniej niż 30-letni okres w historii Polski (1890-1918) był jak wybuch wulkanu. Kraj pozbawiony narodowości od stu lat wyrzucał z siebie tłumy geniuszy nie tylko w literaturze, ale w muzyce, sztukach pięknych, architekturze. Co więcej te dziedziny się przenikały: malarstwo przesycone było poezją, poezja zbliżała się do muzyki. W literaturze chodziło o odrzucenie pozytywizmu, materializmu, realizmu, dusza powinna poczuć się wolna, analizować swe subiektywne przeżycia i nastroje. Nastała moda na „nagą duszę" i uprawianie „sztuki dla sztuki". W literaturze pięknej najbardziej nowatorską była poezja i to tworzona w różnorodnych konwencjach i stylach poetyckich jak neoromantyzm, symbolizm, ekspresionizm, impresjonizm, nawet dekadentyzm i naturalizm. „Nowymi Atenami" tej burzy artystyczno-intelektualnej był Kraków, ale liczyła się też Warszawa i Lwów. W „Atenach" (Krakowie) zrobiło się ciasno od dziesiątek genialnych twórców, zarówno mieszkańców Krakowa jak i częstych gości. Wymienię tylko kilka nazwisk: W. S. Reymont, L. Rydel, T. Żeleński-Boy. A. Asnyk, J. Kasprowicz, K. Przerwa-Tetmajer, S. Żeromski, S. Wyspiański, S. Przybyszewski i dziesiątki innych.

Maryla Wolska miała ważniejsze zainteresowania niż pisanie poezji, a gdy wydała od czasu do czasu tomik, był to rodzaj jej

prywatnego konfesjonału, było to rozgryzanie swej duszy i osobowości, a w trudnych okresach życia powrót do swych cudownych lat młodości. W tomikach *Thème varié, Symfonia jesienna, Święto słońca, Z ogni kupalnych* dominuje poezja bardzo prywatna, zamknięta w sobie, o wysokiej kulturze literackiej, w wyrazie nie tylko dyskretna, ale i subtelna. Motyw niewspółmierności między marzeniem a spełnieniem jest stałym elementem w jej wierszach. Oto jedna zwrotka wiersza ilustrująca te nastroje:

> Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności,
>
> Woń starych dworów, pustki i lawendy,
>
> Roztwory wielkich szklanych drzwi – bez gości,
>
> Myśl, że tak wiele życia przeszło tędy.

Innym głównym motywem jej twórczości to szukanie drogi życiowej i nieskrępowanej przez nikogo wolności wewnętrznej. Tak to wyraża:

> Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,

> Ścieżką idzie samotna, wolna, jak ptak w lesie,
>
> W pas się słońcu jednemu kłania o poranku.
>
> Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce;
>
> Własna swoja, niczyja, nieznana nikomu,
>
> W zaświat boży swe serce poniesie dziewczęce,
>
> Niby malin, wieczorem, pełen dzban, do domu.

Maryla od dziewiątego roku życia zagrożona była chorobą płuc, dużo czasu z racji leczniczych dla zdrowia spędziła w cudownych okolicach w Sole, potem w Storożkach na wzniesieniu nad rzeką z widokiem szczytów górskich – już jako mężatka przebywała w równie malowniczych Perepelnikach, w dworku i majątku ziemskim odziedziczonym przez męża po śmierci bezdzietnych kuzynów. Uroki tego miejsca odkryli Płanetnicy – gwarno było w tym dworku w czasach letnich. To miejsce stało się potem przeklętym dla niej miejscem, bo w 1919 r. nacjonaliści ukraińscy w bestialski sposób zamordowali jej gospodarującego tam najstarszego syna Ludwika. Zawalił się jej świat. Śmierć goni śmierć. W trzy lata później umiera jej mąż, rok później matka, znowu trzy lata później najmłodszy syn

Juliusz. Do jednej z przyjaciółek pisze: „Skończyło się Zaświecie, jest tylko cmentarz”. Został jej tylko średni syn Kazimierz, który po starszym bracie przejął majątek w Perepelnikach. Córka Beata, malarka, wychodzi za zubożałego ziemianina Józefa Obertyńskiego, córka Aniela, poetka, za Michała Pawlikowskiego, członka bardzo zasłużonej rodziny dla kultury polskiej.

Goście Wolskich w Zaświeciu. Stoją Antoni S. Mueller i Józef Ruffer. Siedzą Leopold Staff i Ostap Ortwin, fot. cracovia-leopolis.pl

Maryla Wolska w Storożce.

W okresie dziesięciolecia po r. 1918 Maryla nie tworzyła. Głównym jej zajęciem była walka o przetrwanie swoje i rodziny oraz niesienie czynnej pomocy dla potrzebujących w umęczonym Lwowie. Za pióro chwyciła dopiero w 1929 r. wydając tomik swych najdojrzalszych wierszy p.t. *Dzbanek malin.* Niczego już nie chce od życia, chce wyzwolenia i by jej nowa „ojczyzna” była podobna to tej uroczej z lat dziewczęcych:

> Moje niebo musi pachnieć świerczyną,

> W moim niebie będą lasy i góry
>
> – I rzeka tam szumieć powinna,
>
> Ta jedna, jedyna ona,
>
> Jak żadna inna Zielona…

Chodzi tu o rzekę spod Storożki. Maryla umiera 25 czerwca 1930 r. nie gdzie indziej, tylko w swoim „Zaświeciu”, który zachował się do dzisiaj, no i pochowana jest nie gdzie indziej tylko na cmentarzu Łyczakowskim. Przed śmiercią zdążyła jeszcze opublikować dwutomowe dzieło listów i pamiętników swej matki i Artura Grottgera, za co historycy, literaci, artyści są jej niezmiernie wdzięczni.

Na wspomnianym cmentarzu długo stałem przed obeliskiem z czarnego kamienia nad grobem tej wspaniałej kobiety i jej równie wspaniałej matki oraz ich mądrych, wyrozumiałych mężów, którzy dyskretnie stworzyli im warunki do pełnego rozwoju. Dumałem nad tym, że matka ziemia nie tylko zabiera urodę, ale i wycisza najgorętsze serca, najwspanialsze umysły. No cóż! „Z prochu jesteśmy, w proch się obrócimy” – to nieubłagane prawo natury.